

Rozdział pierwszy



Pociąg, kołysząc się monotennie, oddalił się powoli od peronu, pozostawiając osamotnionych nielicznych odprowadzających. Majowy deszcz skrapiał obficie popękany asfalt i pokrytą młodą trawą ziemię. Silny południowy wiatr, wiejący od samego rana, objął w niepodzielne władanie cały dworzec kolejowy w niewielkim miasteczku na południu Ukrainy, pędząc przed sobą ukośne strugi wiosennego deszczu. Starsza kobieta, z trudem utrzymując w spracowanej dłoni wielki, czarny parasol, wciąż jeszcze machała w ślad za oddalającym się pociągiem, choć uśmiechnięta twarz córki dawno już przepłynęła koło niej w kwadratowej ramie okna wagonu. Policzki kobiety były mokre od łez, a może tylko od deszczu, przed którym nie potrafił jej uchronić wywrócony silnym podmuchem wiatru parasol.

Marina weszła do swego przedziału i przekręciła zamek w drzwiach. Potem rozłożyła pościel na dolnej półce i, położywszy się wygodnie, zaczęła przeglądać modne pismo kobiece. Od czasu do czasu spoglądała w okno, za którym zmieniały się cudowne, obmywane majowym deszczykiem, pełne świeżej zieleni pejzaże. Marina lubiła o tej porze roku przyjeżdżać do rodzinnego domu. W ogrodzie kwitły tulipany, bzy i inne wiosenne kwiaty, a drzewa w sadzie, pokryte delikatnym kwieciami, roztaczały niesamowity aromat, od którego kręciło się w głowie. Wtedy w sercu budziła się nadzieja na jakieś nowe wydarzenie, którego jeszcze nie było w jej życiu.

Dwa tygodnie urlopu, które spędziła u mamy, przeleciały bardzo szybko, lecz pod koniec Marina tęskniła już za gwarnym i ludnym Kijowem. Jutro znów znajdzie się w swym przytulnym dwupokojowym mieszkanku na Padole, które przypadło jej w spadku po babci, i znów życie wciągnie ją w kołowrót różnych spraw i problemów. Ulubiona praca w kwaciarni i wesola, nad wiek mądra przyjaciółka Olga, właścicielka tego sklepu, pomoże jej szybko uporać się z samotnością i kobiecą tęsknotą za czymś wyjątkowym, ku czemu nieustannie podąża jej serce, zwłaszcza wiosną, po powrocie z rodzinnego domu.

Jedyną rzeczą, która od zawsze niepokoiła ją podczas urlopu, to nieustanne modlitwy matki, w których

późnymi wieczorami często słyszała swe imię. Matka uwierzyła w Boga po tym, kiedy u ojca stwierdzono raka. Chorował prawie dwa lata, na przekór rokowańiom lekarzy, że zostały mu najwyżej dwa-trzy miesiące życia. Matka modliła się nieustannie, ukrywając przed mężem łzy smutku i goryczy, lecząc go ziołami i wszystkim, czym tylko mogła. Ojciec przetrzymał dziewięć chemii i położył się do łóżka dopiero miesiąc przed śmiercią. Umarł latem w ciężkich męczarniach, w dniu, kiedy jego siedemnastoletnia córka miała świętować ukończenie szkoły. Zamiast cieszyć się i bawić w gronie absolwentów, Marina siedziała w domu i płakała, czyniąc wyrzuty matce i Bogu, który „nie miał najmniejszego zamiaru uleczyć jej ukochanego tatuścia”. Matka, wyczerpana długimi, bezsennymi nocami i dniami wypełnionymi troską o śmiertelnie chorego męża, tuliła do siebie córkę i, głaszcząc ją delikatnie po włosach, uspokajała i ocierała jej łzy.

Po ukończeniu szkoły Marina zatrudniła się jako uczennica w salonie fryzjerskim. Zdobyła dyplom mistrzowski w zawodzie fryzjera damskiego i zaczęła nieźle zarabiać. Praca bardzo jej się podobała i miała też wiele klientek. Jej życie przypominało nieustające święto. Wydawało się, że tak mało trzeba do osiągnięcia pełni szczęścia, lecz dwa lata po śmierci ojca zginął w Czecheni Władik, jej pierwsza miłość. Był jej klasowym kolegą i czekała tylko, kiedy wyjdzie z wojska, by mogli się

pobrać. Pisywali do siebie codziennie, a ich miłość rozkwitała jak majowa róża, dopóki... kula czeczeńskiego bojownika nie zatrzymała bicia serca dziewiętnastoletniego chłopaka, i to miesiąc przed demobilizacją. Na pogrzebie zgromadziło się całe miasto. Marina, uczepiwszy się cynkowej trumny z ciałem ukochanego, przesiadła w milczeniu całe dwa dni, a na cmentarzu, przed samym pochówkiem, upadła zemdlna i trudno było ją docucić.

Przez kilka tygodni nie wychodziła z domu i nie odpowiadała na telefony. Z nikim też nie chciała rozmawiać ani się spotykać. W swoim pokoju, na wszystkich ścianach, porozwieszała fotografie Władika i, głośno płacząc, czytała jego listy. Matka kilka razy proponowała jej wspólne wyjście do kościoła, lecz Marina nie chciała nawet o tym słyszeć. Kiedyś któregoś dnia przyszedł do ich domu prezbiter, by porozmawiać z nią o Bogu. Nie wysłuchawszy nawet tego starszego i doświadczonego człowieka, rzuciła mu w twarz: „Zostawcie mnie w spokoju! Kiedy umarł mój tata, a później w Czeczenii zginął Władik, przekonałam się, jaki naprawdę jest ten wasz Bóg!”.

Następnego dnia Marina, włożywszy do kartonowego pudła zawiniętą w płótno suknię ślubną, welon, białe pantofle, rękawiczki, wszystkie listy oraz fotografie ukochanego chłopaka, zakopała je w sadzie pod morelowym drzewem. Wieczorem wyjechała do Kijowa, do

babci Iriny, i zamieszkała w tętniącej gwarem stolicy. Tam poznała o trzy lata starszą Olę, której rodzice prowadzili kwiatowy biznes i wynajmowali dla córki kwiatarnię w samym centrum Kijowa. Dziewczyny szybko się zaprzyjaźniły. Wesoła i zawsze pogodna Olga, z którą po prostu nie można było się nie zgadzać, wspaniale umiała podnieść na duchu przygnębioną, milczącą i zamkniętą w sobie koleżankę. Marina bardzo szybko z prostej prowincjuszki przedzierzgnęła się w silną, pewną siebie dziewczynę ze stolicy. Nigdy nie żałowała, że ze spokojnego nadmorskiego miasteczka na południu kraju przeniosła się do pełnego zgiełku Kijowa. Niezwykle szybko przyzwyczaiła się do stołecznego życia. Tęskniła jednak za matką i często dzwoniła do domu, pomimo że mama za każdym razem powtarzała, iż powinna dowiedzieć się więcej o Jezusie Chrystusie i uporządkować swe relacje z Bogiem, gdyż to najważniejsze w życiu każdego człowieka. Taka rozmowa o nawróceniu wywoływała zwykle w Marinie uczucie gniewu i rozdrażnienie, a pamięć szybko przenosiła ją do bolesnych dni młodości. Z czasem matka coraz rzadziej mówiła przez telefon – jej i teściowej – o Wiecznej Prawdzie, aż w końcu zupełnie przestała poruszać ten temat. Nie ustawała jednak w modlitwie za swą córkę i dziewczyna dobrze o tym wiedziała. Każdej wiosny przyjeżdżała do rodzinnego domu, lecz temat Boga i Biblii nie budził w niej

najmniejszego zainteresowania, a wręcz przeciwnie, coraz bardziej irytował. Po trzech latach od przyjazdu wnuczki do Kijowa, na skutek zwykłej grypy, zmarła, nie pojednawszy się z Bogiem, jej osiemdziesięcioletnia babcia Irina.

Mijały lata i rany w sercu Mariny stopniowo się zablizniały. Skończyła już dwadzieścia siedem lat, lecz wciąż nie ułożyła sobie życia. Miała kilka przelotnych przygód z mężczyznami, lecz oprócz rozczarowań nie pozostawili żadnego śladu w jej sercu. Ostatni bliski jej przyjaciel, trzydziestoletni programista Mikołaj, zatrzymał się w jej życiu prawie na trzy miesiące. Kilka razy nawet próbował jej się oświadczyć, lecz zawsze, kiedy tylko wyobrażała sobie, że mogłaby zostać jego żoną, miała ochotę uciekać, gdzie oczy poniosą. Programista był jednak wytrwały i widocznie poważnie podchodził do tematu założenia rodziny. Jednego razu omal się nie zgodziła, lecz potem pomyślała z przestraczem, że kiedy się pobiorą, on zacznie ograniczać i krępować jej swobodny styl życia. Odmówiła więc Mikołajowi i zabroniła mu dzwonić do siebie. Po prostu wykreśliła go ze swego życia. Początkowo mężczyzna nie mógł się z tym pogodzić i niepokoił ją wszędzie, gdzie tylko mógł, lecz później młodziotka blondynka zawładnęła jego sercem i natarczywe telefony ustały.

W swoje urodziny, z początkiem maja, Marina dała sobie słowo, że bez prawdziwej miłości więcej nie będzie

z nikim się spotykać. Uczucie, którego doświadczyła we wczesnej młodości, w okresie pierwszej miłości do Władika, nigdy potem nie zagościło już w jej sercu, choć bardzo chciała się w kimś zakochać – tak prawdziwie, na całe życie, żeby bez kochanego człowieka nie można było żyć ani nawet oddychać. Często w swej wyobraźni rysowała obraz takiego mężczyzny: wysokiego, barczystego, koniecznie z błękitnymi oczami i gęstymi kasztanowymi włosami. Właśnie teraz, siedząc w pociągu i machinalnie kartkując magazyn, przypomniała sobie, że ktoś taki przyśnił jej się przed tygodniem, jeszcze w rodzinnym domu.

Tamtej nocy długo nie mogła zasnąć. Przez tiulową firankę majowy wietrzyk wnosił do jej pokoju delikatny zapach kwitnącego pod oknem morelowego drzewa, pod którym pogrzebała swe szczęście i wszystko, co przypominało o tragedii jej pierwszej miłości. Każdej wiosny ten czarujący aromat napelniał jej duszę wzruszeniem i niepokojem. Jak daleko sięgała pamięcią, nieustannie łączyła swe marzenia z owym delikatnym, pachnącym dotykiem, niby pocałunkiem składanym na jej sercu. Tak było zawsze: w dzieciństwie, w młodości, a nawet teraz, kiedy stała się już dojrzałą kobietą. Leżała z otwartymi oczami, wdychając cudowną woń kwitnącej moreli i marząc o wielkiej miłości, własnych dzieciach, czyli o zwykłym, kobiecym szczęściu. I nie wiedząc kiedy, zasnęła.

We śnie stworzony przez nią obraz ukochanego mężczyzny zmienił się w rzeczywistość. Szli we dwoje po wilgotnym piasku wzdłuż morskiego brzegu. On mocno trzymał ją za rękę, spoglądając na nią swymi błękitnymi oczami. Kroczyli w milczeniu, bojąc się naruszyć cudowną harmonię uczuć. Duszę dziewczyny przepelniała lekkość i ogromne szczęście. Później nieoczekiwanie on wypuścił jej dłoń, wsiadł do łódki i, pospiesznie pracując wiosłami, wypłynął w morze. Niczego nie rozumiejąc, stała na brzegu ze złamanym sercem, nie mając sił biec za nim po wodzie. Łódka oddalała się od brzegu tak gwałtownie, że wkrótce zmieniła się w małą punkcik.

Marina obudziła się z twarzą mokrą od łez, nie mogąc otrząsnąć się po doznanym zawrocie, dopóki nie uświadomiła sobie, że był to tylko sen. Znajomy zapach kwitnącej moreli uspokoił ją trochę, lecz pamięć zachowała spojrzenie błękitnych oczu i bujną czuprynę ciemnych włosów na wysoko podniesionej głowie.



Pociąg zatrzymał się na niewielkiej stacji. Marina otworzyła drzwi swego przedziału i wyjrzała na korytarz. Do wagonu wchodziły tutejsze kobiety z koszami, proponując pasażerom kupno owoców, pierożków, ciasteczek i drożdżówek z serem oraz całych gorących obiadów. Marina, odmówiwszy kupna czegokolwiek

i zamknawszy na powrót drzwi przedziału, sięgnęła na górną półkę, gdzie stała jej torba. Chciała wyjąć z niej pojemnik z domowym jedzeniem, który mama włożyła jej na drogę.

– Może pani pomóc?

Marina odwróciła głowę i zastygła w zdumieniu z podniesionymi rękami. Do przedziału wszedł wysoki, młody mężczyzna... z jej snu.

– Dzień dobry. Mam nadzieję, że będziemy towarzyszami podróży do samego Kijowa. – Uśmiechnął się, przeczesując palcami gęste, kasztanowe włosy. – Poznajmy się. Eugeniusz. – Wyciągnął do niej swą opaloną dłoń.

„Pewnie tak ludzie wpadają w obłąd” – pomyślała, lecz, ulegając pokusie, podała mu rękę. Niebieskie oczy patrzyły na nią z wyraźnym zainteresowaniem i zachwytem.

– Jak pani na imię?

Patrzyła na niego bez słowa, jakby mówił po chińsku. Eugeniusz zaś czekał, uśmiechając się i nie spuszczać z niej wzroku. Nie przestał też trzymać jej maleńkiej, drżącej dłoni.

– Marina. – Usta jakby same wyszeptały to imię. Wydało jej się, że mężczyzna patrzy prosto w jej serce i czyta w jej myślach.

– Czymś panią przestraszyłem?

Wypuścił w końcu jej dłoń, ustawił na górnej półce swoją niewielką walizkę. Zdjął lekką letnią marynarkę, po czym zawiesił ją na wieszaku. Następnie usiadł naprzeciw Mariny, która ciągle jeszcze nie mogła opanować wewnętrznego drżenia, nawet kiedy na powrót wzięła do ręki ilustrowany magazyn.

– Proszę posłuchać, Marino – rzekł, patrząc na nią z czułością – jeśli pani tak się mnie boi, to poproszę konduktorę, by przeniosła mnie do innego przedziału.

Po tych słowach poczuła, jak coś w niej pękło.

– Ależ nie! Niech pan nie odchodzi! – rzekła cicho, nieoczekiwanie dla siebie samej i wbrew swej woli. – Nie przestraszył mnie pan, ja po prostu... widziałam pana niedawno we śnie.

Przyłożyła dłoń do płonących policzków, starając się uśmiechnąć. Dreszcz nie mijał. Pociąg drgnął i znów ruszył z miejsca, powoli i leniwie, jakby bardzo niechętnie oddalał się od peronu. Kobiece czasopismo zsunęło się na podłogę. Kiedy równocześnie oboje schylili się, by je podnieść, on zdążył poczuć ciepło i zapach jej ciała. Marina znów się zmieszala i pospiesznie usiadła na swoim miejscu. Miała wrażenie, że od dawna zna tego mężczyznę i teraz bała się tylko o jedno: że zniknie z jej życia tak nagle, jak w tamtym śnie, kiedy wypłynął w morze, zostawiając ją samą na bezludnym, piaszczystym brzegu.

– Nie musi pan nigdzie odchodzić. Proszę... – Znów mimowolnie powiedziała na głos to, o czym jedynie my-

ślała. – To chyba jakiś cud. Przecież w życiu tak się nie dzieje.

Eugeniusza nie zdziwiły jej słowa i wcale nie wziął jej za osobę niespełna rozumu. Położył na rozdzielającym ich stoliku swe silne ręce, otwierając dłonie. Marina włożyła w nie swoje.

– Opowiedz mi o sobie – poprosił.

Opowiedziała mu wszystko od czasu, kiedy tylko siebie pamiętała. On słuchał uważnie, lubując się jej wzruszeniem, a ściskając delikatnie jej małe dłonie, zmuszał do drżenia kobiece serce. Potem pili herbatę, zagryzając malinowymi ciasteczkami, a Eugeniusz mówił Marinie, że wraca od swej chorej matki, również bardzo wierzącej, lecz on dotychczas tak naprawdę jeszcze nie dołączył do Bożej trzódki.

– To dziwne, jak wiele mamy z sobą wspólnego! – stwierdził. – Odnoszę wrażenie, że znam cię od dawna.

Marina nie zadawała żadnych pytań, po prostu słuchała, tonąc w błękicie jego oczu.

Nad ranem wiedział już o niej wszystko. Przegadali całą noc jak dwóch bliskich sobie ludzi, którzy spotkali się po długiej rozłące. Oczy obojgu błyszczały takim zachwytem, że trudno było tego nie zauważyć, patrząc z boku. Wymienili się numerami telefonu oraz adresami e-mailowymi. Umówili się na spotkanie następnego dnia w kawiarni Kaffeehaus na Padole, w dzielnicy, gdzie mieszkała. Eugeniusz wziął z dworcowego postoju tak-

Tamara Reznikova

sówkę i kiedy rozstawali się koło jej domu, oboje czuli, że właśnie to spotkanie było czymś najważniejszym w życiu każdego z nich.